

RAJD ROWEROWY PTTK O / MYSŁOWICE NA TRASIE ZAMOŚĆ – BIAŁYSTOK 4 – 13 lipca 2009

W odpowiedzi na propozycję myślowickiego PTTK-u dziewiątka zapalonych turystów rowerowych postanowiła wybrać się na rajd po wschodniej Polsce. Sprawcą całego zamieszania był prezes myślowickiego oddziału PTTK Zbigniew Orłowski, który szczegółowo zaplanował i zorganizował całą wyprawę. Dla części z nas była to zupełna nowość, tym chętniej korzystaliśmy z rad kolegów doświadczonych zeszłorocznym rajdem. Szczegółowo podzieliliśmy między siebie wszystkie niezbędne akcesoria przydatne w podróży, takie jak pompki rowerowe, zapasowe dętki, zestawy narzędzi, apteczki i inne. Właściwie panowie podzielili je między sobą, bo nie dowierzali, że kobiety w ogóle dojadą do celu... W podróży kolekcjonerzy zbierali pieczątki z wszystkich ciekawych miejsc, a naszą historię postanowiliśmy spisywać co wieczór, dzięki czemu powstał swego rodzaju dziennik, którym chcemy się z Wami podzielić.

Dzień I - 4 lipiec - (sobota) Pełni entuzjazmu i rządzni przygód spotkaliśmy się o 9.15 na myślowickim dworcu. Każdy rower obładowany sakwami i nie łatwo było go podnieść. Pogoda była znakomita, nawet pociąg przyjechał punktualnie i w dodatku z wagonem przystosowanym do przewozu rowerów. Wszystko zapowiadało udany rajd. O 9.40 ruszyliśmy w drogę do Zamościa. Nie mogliśmy doczekać się, aż wsiądziemy na rowery, tymczasem podróż kolejną trwała i trwała, a słońce dawało się we znaki. O 19.20 dotarliśmy do Zamościa, perły renesansowej architektury. Miasto zostało zaprojektowane przez włoskiego architekta Bernardo Morando na polecenie kanclerza Jana Zamoyskiego, nazywane jest często Padwą Północy. Znajduje się na Liście Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. Zwiedzanie rozpoczęliśmy od Rynku Wielkiego z rzędami barwnych kamieniczek, nad którym góruje Ratusz z wieżą i szerokimi schodami, będący wizytówką Zamościa. Zobaczyliśmy także Katedrę, Pałac Zamoyskich, przed którym znajduje się pomnik kanclerza, gmach dawnej Akademii Zamoyskich, a także renesansowe obwarowania miasta. Urzeczony urokiem tego miejsca, późnym wieczorem ponownie wybraliśmy się na tętniący nocnym życiem Rynek, z mnóstwem klimatycznych knajpek, gdzie integrując się z Lubelszczyzną, delektowaliśmy się zwierzynieckim piwem.

Dzień II – 5 lipiec - (niedziela) Przed nami długa droga do Chełmu. Ale zanim opuściliśmy Zamość, chcieliśmy koniecznie zobaczyć Rotundę – Mauzoleum Martyrologii Zamojszczyzny, Arsenal, gdzie mieści się Muzeum Barwy i Oręża, oraz wnętrze dość niepozornie wyglądającej z zewnątrz Katedry Zmartwychwstania Pańskiego i św. Tomasza Apostoła. Na pożegnanie z miastem – rundka po Rynku. Nasze kolejne zadanie wymagało nie lada sprawności i umiejętności. Sprawdziliśmy doświadczalnie, że w busie może się zmieścić 9 rowerów i dziesięć osób, dla kierowcy udało się wygospodarować miejsce siedzące. Było niezbyt wygodnie, ale pozwoliło nam to zaoszczędzić kilkadziesiąt kilometrów. Godzinę później byliśmy w Hrubieszowie, gdzie zobaczyliśmy Dworek Stanisława Staszica, w którym dziś znajduje się muzeum. Staszic był niezwykle ważną postacią w dziejach tego miasta, które kupił w 1800 roku. Założył Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie – pierwszą na ziemiach polskich organizację spółdzielczą. Zatrzymaliśmy się także w Sanktuarium Matki Bożej Sokalskiej. Sokal to miasto które do 1951 r. było w granicach Polski, w tym to roku nastąpiła regulacja granic. Inicjatorem regulacji było ZSRR – bez prawa odmowy. W rejonie Sokala odkryto ogromne złoża węgla kamiennego, później powstało wielkie zagłębie węglowe i stutysięczne miasta. W zamian dostaliśmy Ustrzyki Dolne i okoliczne wioski. O niezwykle ciekawej historii obrazu MB Sokalskiej dowiedzieliśmy się od Bernardynów opiekujących się Sanktuarium. Później pojechaliśmy do Zosina – to najbardziej wysunięty na wschód kraniec Polski, gdzie po krótkich pertraktacjach strażnik pozwolił nam zrobić zdjęcie przy tablicy granicznej. Pędząc po drogach Lubelszczyzny, jeden z naszych rowerzystów potracił pełznącego przez drogę zaskrońca, na szczęście zwierzątko przeżyło. Kolejnym punktem na szlaku naszego rajdu była miejscowość Horodło, gdzie znajduje się Kopiec Unii Horodelskiej usypany na pamiątkę podpisania unii polsko-litewskiej. Choć dojazd nie był oznaczony, to w końcu udało nam się go znaleźć. Nieco dalej, w niepozornej wsi Uchanie zobaczyliśmy perłę renesansu lubelskiego – kościół parafialny ufundowany przez szlachciców Uchańskich, niezwykle bogato wyposażony. Zabytek ten jest uwzględniony w Kanonie Krajoznawczym Polski. Korzystając z gościnności tamtejszego wikarego, pozwoliliśmy sobie na dłuższą przerwę w podróży i miłą pogawędkę (i kawę) z gospodarzem. Okazuje się, że prowadzenie parafii w małej miejscowości nie jest łatwe – gospodarstwo trzeba prowadzić samemu, a troszczenie się o piękny zabytkowy kościół wymaga dużych nakładów finansowych, często przekraczających możliwości parafian. Odczuwając zmęczenie całodniowej wędrówki dotarliśmy do Chełmu, gdzie nocowaliśmy w ośrodku Kumowa Dolina. Przejechaliśmy 118 kilometrów.

Dzień III – 6 lipiec (poniedziałek) Wyruszyliśmy kilka minut po ósmej. Przed wyjazdem z miasta zwiedziliśmy chełmskie podziemia kredowe. Labirynt tajemniczych chodników powstał w wyniku eksploatacji pokładów kredy, której złoża zalegają obficie pod powierzchnią miasta. Zabytkową kopalnię zamieszkuje Duch Bieluch, którego mieliśmy szczęście spotkać. Tak zaczęła się nasza przygoda z duchami... Dowiedzieliśmy się, że w zabezpieczaniu kredowych podziemi pomagali myślowiccy górnicy. Kolejnym punktem na naszym szlaku był bogato zdobiony kościół Rozesłania Apostołów. Przejeżdżając przez Rynek zobaczyliśmy odrestaurowaną studnię miejską. Wyjeżdżamy z Chełmu w kierunku Włodawy. W miejscowości Świerże po raz pierwszy spotykamy rzekę Bug. Z kolei w Hnieszowie odwiedziliśmy Bolka. Staruszek ma już około 400 lat, ale niezłe się trzyma. Ma 30 metrów wzrostu i prawie 10 metrów w pasie, a żeby go objąć potrzeba ośmiu ludzi – sprawdzaliśmy. Bolko jest dębem szypułkowym - pomnikiem przyrody. Miejscowa legenda mówi, że pod tym drzewem odpoczywał Bolesław Chrobry podczas wyprawy na Kijów. Ale wtedy dąb musiałby mieć prawie 1000 lat... Żegnając Bolka ruszyliśmy do Sobiboru. Zamierzaliśmy jechać leśnym szlakiem rowerowym, ale pierwsze

kilkadziesiąt metrów piachu na drodze skutecznie nas zniechęciło i wróciliśmy na asfalt. Nadłożywszy trochę drogi dotarliśmy do hitlerowskiego obozu zagłady w Sobiborze. Zginęło tam ponad 250 tys. ludzi. Po powstaniu więźniów w 1943 roku obóz został zniszczony. Do dziś w okolicznych lasach zachowały się fragmenty drutów kolczastych. Historię tego powstania opowiada film „Ucieczka z Sobiboru” z 1987r. Sceny ze stacji kolejowej były kręcone w obozie. Po zwiedzeniu muzeum pojechaliśmy leśnym skrótem do Włodawy. Tam obejrzelśmy Zespół Synagogałny, naszą uwagę zwrócił także zegar słoneczny w rynku. Nie jest zabytkowy, ale na uwagę zasługuje jego niezwykła dokładność. Pod tarczą zegara znajduje się wykres korekt jakie należy dopełnić, aby godzina się zgadzała. Przejeżdżając przez miejscowość Sławatycze zatrzymaliśmy się na zakupy. W centrum znajdują się kościół i cerkiew, a w sklepach najwyraźniej wprowadzono prohibicję. Zbliżaliśmy się do miejsca naszego noclegu, chyba najciekawszego w naszej wędrówce, monasteru w Jabłecznej. Jest to centrum prawosławia w Polsce. Zespół cerkiewny należy do najważniejszych obiektów prawosławnych w kraju i jest dla wyznawców prawosławia tym samym czym dla katolików Częstochowa. Położony jest nad samym Bugiem, dookoła otoczony meandrami rzeki. Zanim jednak dotarliśmy do celu, część naszej ekipy (ta, która miała jeszcze trochę siły) dała się wciągnąć w wyścig rowerowy z miejscowym chłopcem – wygraliśmy, choć nie było łatwo... Już od samego wjazdu do monasteru dało się zauważyć panujący w obejściu ład i porządek. Pewnie dlatego odrobina mleka - niesiona w wiadrze - wylana na chodnik przez jednego z zakonników wzbudziła spore oburzenie przeora. Nam też się trochę oberwało, za stawianie rowerów na idealnie przystrzyżonym trawniku... Spaliśmy w Domu Pielgrzyma, w którym grasowały dzikie zwierzęta – komary, muchy, pająki. Trutka na szczury w kącie wiałowała także obecność nieco większych okazów... Wszyscy zgodnie uznaliśmy to miejsce za stolicę polskich ko(sz)marów... Liczniki rowerowe wskazywały 135 km.

Dzień IV – 7 lipiec (wtorek) Dzień rozpoczęliśmy od pożywnego śniadania, na które składały się produkty wytworzone w gospodarstwie monasteru – mleko, biały ser, jajka, chleb, konfitury, ciasto. Przygotowująca je pani kucharka nie mówiła po polsku, tylko po ukraińsku lub białorusku. Towarzystwa dotrzymywał nam jeden z pracowników monasteru, który sporo wiedział o Śląsku, o Trójkącie Trzech Cesarzy, postuluje się także gwarą śląską, która z akcentem kresowym brzmiała dość oryginalnie. Po śniadaniu jeden z zakonników oprowadził nas po Cerkwi św. Onufrego. Ikona patrona ma około 500 lat, tradycja głosi, że przypląnęła Bugiem, a ludzie postanowili wybudować w tym miejscu cerkiew. Dziś ta cerkiew już nie istnieje, na jej miejscu stoi nowa, bardzo okazała, ze złożonymi kopułami, podobnie jak cały monaster. Dom Pielgrzyma jest drewniany z elementami snyderki charakterystycznymi dla architektury Polesia. Zakonnik opowiadał nam, że jak Bug wylewa, to ludzie z pół zamiast płodów przynoszą ryby. Z jednej strony jest to przekleństwo, ale z drugiej – urodzaj. Klasztor jest wtedy na kilka tygodni odcięty od świata, a na parkingu zamiast samochodów stoją łodzie. Od wjazdu do monasteru na większości spotykanych kapliczek napisy wykonane są cyrylicą, a krzyże mają trzy poprzeczne belki. Jechaliśmy drogą wzdłuż Bugu. W Neplach, pomiędzy Terespołem i Janowem Podlaskim, zaintrygował nas czołg T34 stojący na skraju lasu. Kolejny przystanek zrobiliśmy w Pratulinie, gdzie znajduje się ołtarz papieski z 1999r. z wizyty papieża w Siedlcach. W kościele można zobaczyć kaplicę z relikwiami 13 poległych w obronie cerkwi unickiej. Kościół unicki, nazywany także grecko – katolickim, powstał w wyniku Unii Brzeskiej (1596r.), kiedy administracyjnie cerkiew prawosławna została włączona do kościoła katolickiego. Zajrzeliśmy także do stadniny w Janowie Podlaskim. Zwiedziliśmy zespół budynków projektu włoskiego architekta Marconiego. Zauważyliśmy stado koni arabskich w galopie spędzane do stajni. Jak przystało na prawdziwą stadninę, spędzający je lokalny kowboj jechał na motorowerze. W Janowie Podlaskim okazało się, że wszystkie pobliskie promy na Bugu są unieruchomione, bo rzeka wylała. Szybko opracowaliśmy plan awaryjny – pojechaliśmy do wsi Sarnaki(woj. mazowieckie), a stamtąd bardzo nowoczesnym szynobusem do miejscowości Siemiatycze, już na Podlasiu. W ten sposób przekroczyliśmy Bug. Z Siemiatycz dalej na rowerach do wsi Homoty, gdzie bardzo miło przyjął nas gospodarz, mocno przejęty naszą wędrówką. Rumaki odstawił do stodoły, między Żuka i kopkę siana. Za nami kolejne 110 kilometrów.

Dzień V- 8 lipiec (środa) Przy śniadaniu gospodarz zabawiał nas opowieściami. Najbardziej utkwiała nam ta o krowach przepływających przez Bug, kiedy pastwiska znajdowały się po drugiej stronie (zanim rzeka zmieniła swój bieg). Kilka lat temu całe stado krów z białoruskiego kołchozu przepłynęło na polską stronę – tak im się do Unii spieszyło. Sprawa oparła się o ambasady a uciekinierki tirami przewieziono spowrotem. Po jedzeniu, kawie i pogaduszkach wyruszyliśmy w dalszą drogę. Zaczęliśmy od świętego miejsca prawosławia, czyli od Góry Grabarki. Miejsce to swoją karierę rozpoczyna w 1710 roku, kiedy ludzie uciekający z Siemiatycz przed zarazą zatrzymują się tutaj. Pijąc wodę ze źródła u podnóża góry, ludzie ci przeżyli zarazę. Od tego czasu miejsce to stało się celem pielgrzymek, uzdrowień i innych cudów. Licznie przybywający pielgrzymi na pamiątkę pobytu pozostawiają na górze krzyże. Na szczycie stoi cerkiew, która otoczona jest lasem różnej wielkości krzyży. Znajduje się tam także żeński klasztor prawosławny. U podnóża góry do dziś jest źródło, osłonięte kapliczką na czterech filarach. Próbowaliśmy wody. W związku z tym, że nad nami pojawiły się czarne chmury, podjęliśmy decyzję o zmianie planu podróży. Z przesiadkami przejechaliśmy PKP do Hajnówki. Podróż pociągiem zaczęliśmy w Syczach koło Grabarki, na niesamowitej stacji kolejowej – zarośniętej i bez rozkładu, co było dość ryzykownym posunięciem. Wrażenie zrobił na nas tabor tamtejszej kolei, bardzo nowoczesny, u nas w ogóle nie spotykany, a co najważniejsze – przystosowany do przewożenia rowerów. W Hajnówce chcieliśmy zobaczyć dwa obiekty o biegunowo różnej charakterystyce. Sobór pod wezwaniem Świętej Trójcy o bardzo nowoczesnej bryle, niespotykanej nigdzie indziej w Europie – udało nam się zwiedzić. Ku naszemu rozczarowaniu, kulturalna knajpka „u Wołodii” była nieczynna. Posileni duchowo udaliśmy się w nieprzepatne czeluście Puszczy Białowieskiej. Osada nazywała się Długi Bród, liczyła 20 mieszkańców, w tym 8 wdów. Mała chatka w malutkiej wiosce na

skraju puszczy. Kilka domków, bociany, chmara komarów i my. W chatce piec, opalany tylko drewnem, dzięki któremu mogliśmy podgrzać wodę i wysuszyć pranie. Nasz gospodarz stanął na wysokości zadania, załatwił mleko prosto od krowy, kiebasę, jajka i Ducha Puszczy (napój o mocy 60% produkcji własnej) – to już drugi napotkany duch... Wszystko to spożywaliliśmy przy ognisku śmiejąc się i żartując. Lepszego początku przyjaźni z puszcza nie można sobie wyobrazić. Na licznikach 36 kilometrów – regenerujemy siły.

Dzień VI – 9 lipiec (czwartek) Wjechaliśmy w Puszcę Białowieską. Chcąc się wzmocnić przed dalszą wędrówką dotarliśmy do miejsca mocy (czakramu). Zanim jednak udało nam się tam dojechać po błotnistej i pełnej wystających korzeni ścieżce, straciliśmy całą energię, na dodatek na miejscu złapał nas deszcz, w związku z czym cała moc z nas uleciała... Kolejnym przystankiem była Białowieża. Zwiedziliśmy muzeum przyrodnicze, ładnie zrobione, choć pozostawiające lekkie niedosyt. Zobaczyliśmy żubry – na razie na ekspozycji w muzeum, ale zawsze coś. Zwiedziliśmy Białowieżę naszpikowaną instytutami naukowymi różnych dziedzin przyrodniczych. Na głównej ulicy zwrócił naszą uwagę pomnik z napisem: „poległym za wolność i socjalizm”. Zwykle tego rodzaju napisy są zmieniane. Przy wyjeździe z Białowieży złapał nas rześisty deszcz, ale byliśmy na to przygotowani. W strugach deszczu zwiedziliśmy Szlak Dębów Królewskich. Droga była wyjątkowo dziurawa i błotnista. Z potłuczonymi tyłkami dojechaliśmy do miejscowości Narewka na północy Puszczy Białowieskiej, dalej pojechaliśmy nad zalew Siemianówka – zbiornik zaporowy na Narwi. W wiosce Bondary spędziliśmy noc w gospodarstwie agroturystycznym. Gospodarz staropolskim zwyczajem poczęstował nas lokalną okowitą. Przejechaliśmy 78 kilometrów.

Dzień VII-10 lipiec (piątek) Opuszczamy Bondary i jedziemy do Puszczy Knyszyńskiej. Większą część drogi stanowi gruntówka, na szczęście w lepszym stanie niż ta w Puszczy Białowieskiej. Wjeżdżamy do stolicy polskich Tatarów, miejscowości Kruszyniany. Miejscowość tę nadał Tatarom król Jan III Sobieski za zasługi w kampaniach wojennych i jako zaległy żołd. Dziś we wsi mieszka już tylko kilka rodzin tatarskich. Przy wjeździe do miejscowości ciało wzięło górę nad duchem i weszliśmy do słynnej karczmy tatarskiej prowadzonej przez panią Dżannetę Bogdanowicz. Klimat karczmy był isticie orientalny, podobnie jak uroda obsługujących pań, a potrawy w żaden sposób nieprzetłumaczalne i niespotykane w naszej tradycji, np. pierekaczewnik, bieluch, listkowiec. Nasyceni odpoczywaliśmy w oryginalnej tatarskiej jurcie. Z tatarskiej karczmy podjechaliśmy do najstarszego meczetu w Polsce – w Kruszynianach. Tam młody tatar imieniem Dżamil opowiadał nam o obyczajach i kanonach religijnych, ale także o różnych ciekawostkach, na przykład o tym, że słowo „ułań” jest pochodzenia tatarskiego i oznacza młodzieńca. Zwiedziliśmy tego dnia także mizar, czyli cmentarz tatarski, jeden z trzech w Polsce. Następnie przejechaliśmy przez Krynki i całą Puszcę Knyszyńską i docierając do Supraśla. Tu dla odmiany zwiedziliśmy potężny monaster z dwiema cerkwiami. Duże wrażenie zrobił na nas koncert dzwonów nawołujących na wieczorną liturgię. Połowa grupy została na nabożeństwie prawosławnym, było to niesamowite przeżycie. Wytrwaliśmy do końca – trwało dwie i pół godziny. Jak się później dowiedzieliśmy była to jutrznia i obiednia. Podczas tego nabożeństwa wierni nie przyjmują komunii. Mimo późnej pory udało nam się wyprosić zwiedzanie głównej cerkwi, w której zachwylił nas ogromny pozłacany żyrandol z dwugłowymi orłami wyorskimi. Do miejsca noclegowego w Białymstoku dotarliśmy o 22.30. Przy jednym ze sklepów nasze odblaskowe kamizelki zostały wzięte za stroje stróżów prawa i prawdopodobnie przyczyniliśmy się do rozpierzchnięcia grupy miejscowych osiłków, których niezbyt kulturalny dialog zapowiadał niezłą burdę. Zrobiliśmy 110 kilometrów.

Dzień VIII – 11 lipiec (sobota) Z zatłoczonego Białegostoku wyjechaliśmy do miejscowości Choroszcz. Tu zwiedziliśmy letni pałacyk Branickich, w którym obecnie mieści się Muzeum Wnętrz Pałacowych. W porównaniu z „naszą” Pszczyną tutejsza ekspozycja wypadła błado. Z Choroszczy przejechaliśmy 17 kilometrów do Tykocina. Miasto nazywane jest perłą podlaskiego baroku, jednak niezamiatowanemu w zabytkach turyście rowerowemu utkwii w pamięci wyłącznie nawierzchnia dróg – głównie kamienie, tzw. kocie łby. Staraliśmy się jechać chodnikami. Wrażenie zrobiły na nas kościół parafialny fundacji Branickich, pomnik Stefana Czarneckiego – drugi pod względem wieku niesakralny pomnik w Polsce, zamek Zygmunta Augusta obecnie odbudowywany przez prywatnego inwestora oraz muzeum w dawnej synagodze. Z Tykocina pojechaliśmy do Pentowa – europejskiej stolicy bociana. Bociany towarzyszyły nam od początku podróży po wioskach Lubelszczyzny i Podlasia, ale tu jest ich wyjątkowo dużo, aż 25 zasiedlonych gniazd w jednym gospodarstwie. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że sympatyczne bociany to niezli rozbójnicy – wyjadają jajka i pisklęta z gniazd innych ptaków i porywają drobny drób z gospodarstw a żaby nie są ich przysmakiem. Pożegnawszy boćki udaliśmy się do stolicy Narwiańskiego Parku Narodowego – Kurowa. Park utworzony został w miejscu, gdzie rzeka Narew na odcinku 45 kilometrów rozplywa się na szereg odnóg tworząc ogromny labirynt dochodzący do 4 kilometrów szerokości. Miejsce to nazywane jest polską Amazonią i jest to jedyna tego typu rzeka w Europie. Koniecznie chcieliśmy popływać kajakami po tym labiryncie, a że w soboty przewodnicy nie pracują, zdecydowaliśmy wybrać się tam na własną rękę. Pracownik Narwiańskiego Parku, który wypożyczył nam sprzęt do pływania, obiecał powiadomić najbliższych gdybyśmy nie wrócili, bo podobno to często się zdarza. Ale nam się udało - po dwóch godzinach wróciliśmy do przystani. W nagrodę dostaliśmy odznaki Narwiańskiego Parku Narodowego. Przed nami zaledwie 40 kilometrów do Białegostoku. Po drodze w miejscowości Jeńki niespodziewanie natknęliśmy się na farmę strusi. To miał być ulgowy dzień, a wyszło jak zwykle – zrobiliśmy 92 kilometry.

Dzień IX – 12 lipiec (niedziela) Ostatni dzień naszej wędrówki postanowiliśmy poświęcić na zwiedzanie Białegostoku. Mile zaskoczyła nas gęsta sieć dróg rowerowych. Kierując się Kanonem Krajoznawczym Polski, zaczęliśmy od górującego nad miastem kościoła Świętego Rocha. Zobaczyliśmy także cerkiew katedralną. Przed ratuszem natknęliśmy się na koncert z cyklu „Przed hejnałem” kwartetu puzonowego Trombastic z Warszawy. Po koncercie zwiedziliśmy Muzeum Podlaskie, gdzie zobaczyliśmy wystawę obrazów i rzeźb. W kafejce skusiliśmy się na miejscowy specjał o nazwie buza. Jest to orzeźwiający napój z kaszy jaglanej, co do smaku zdania były podzielone. Byliśmy w Pałacu Branickich, zwiedziliśmy park angielski i francuski. We wnętrzach pałacu mieści się obecnie Akademia Medyczna, ale dzięki uprzejmości pracowników mogliśmy zobaczyć jej największe ciekawostki i zakamarki. Ogród francuski oglądany z pałacowego balkonu prezentował się imponująco. Na przeciw pałacu mieści się Muzeum Wojska, gdzie także postanowiliśmy zajrzeć. W holu spotkaliśmy dwóch starszych panów w mundurach: 93-letniego rotmistrza Bernarda Wasilewskiego z 10 Pułku Ułanów Litewskich, który walczył w kompanii wrzesniowej, oraz nieco młodszego kapitana Kazimierza Wardaka z 42 Pułku Piechoty, zesłanego na Sybir za odmowę przyjęcia rosyjskiego paszportu. Zetknęliśmy się z żywą historią. Po obejrzeniu muzeum wpadliśmy na pomysł odwiedzenia dzielnicy Dojlidy, która przeciętnemu Polakowi kojarzy się z piwem Żubr. W browarze okazało się, że w tygodniu czasem wpuszczają wycieczki, ale bez możliwości degustacji. Nie było nawet firmowej knajpki. Byliśmy rozczarowani biorąc jako porównanie browary województwa śląskiego. Nie pozostało nam nic innego jak zawrócić do centrum. Pojechaliśmy do Alei Zakochanych, gdzie grała orkiestra jazzowa. Zwieńczeniem wycieczki była para żubrów w Parku Zwierzyniec. Po zmroku jeszcze raz pojechaliśmy do Alei Zakochanych zobaczyć podświetlane fontanny – robiły wrażenie, choć brakowało nam podkładu muzycznego. Robiło się późno, więc powoli skierowaliśmy się w stronę dworca kolejowego. W pociągu spotkaliśmy znajomych rowerzystów, z którymi kilkakrotnie zetknęliśmy się na szlaku. Wspominając najzabawniejsze momenty podróży z każdą minutą zbliżaliśmy się do domu. Kręcąc się po mieście przejechaliśmy około 30 kilometrów.

Dzień X – 13 lipiec (poniedziałek) Około siódmej wysiedliśmy z pociągu na stacji PKP w Sosnowcu. Do domu zostało już tylko kilka kilometrów i jakoś żal się rozstawać. Zdążyliśmy się zżyć ze sobą przez te kilka dni, sporo razem przeszliśmy. Każdy miał swój ciężki dzień na trasie, drobne kontuzje, zmęczenie. Zawsze można było liczyć na wsparcie reszty grupy, w końcu byliśmy jedną drużyną. Wspomnienia z tej podróży z pewnością na długo pozostaną w naszej pamięci. Zaciekawienie spotkanych po drodze ludzi, ich życzliwość, czasem podziw, a czasem dezaprobata dla zwariowanego pomysłu męczenia się na wakacjach. Widok dziewięciu rowerzystów w odblaskowych kamizelkach, z sakwami na bagażnikach robił wrażenie, a powiewające z tyłu chorągiewki PTTK O / Mysłowice wzbudzały spore zainteresowanie. Na szczęście obyło się bez większych problemów, zaliczyliśmy tylko kilka niegroźnych wywrotek. Sprzęt też sprawował się nienagannie, nie licząc przebitej dętki, rozregulowanych przerezutek, czy hamulców, ale te usterki szybko udawało się usunąć. Razem przejechaliśmy ponad 700 kilometrów. Z całą pewnością była to ogromna dawka krajoznawstwa i niesamowita przygoda. Mamy już plany na rok przyszły. Mazury przeważają. W rajdzie udział wzięli; Beata Godek, Edyta Szoen, Zbigniew Orłowski, Dariusz Figura, Rafał Bugla, Andrzej Grabowski, Andrzej Kimel, Marcin Spiegiel, Józef Wesolek.

Autorzy relacji; Edyta Szoen i Marcin Spiegiel – uczestnicy rajdu, członkowie PTTK O / Mysłowice.

Korekta – Zbigniew Orłowski